

## „Na poligonie walki z koronawirusem – świadectwo lekarza i pacjenta”

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Zewsząd dociera tyle informacji o koronawirusie, że każdy bez problemu może je odnaleźć. Dlatego nie będę o tym mówić. Będzie to bardziej osobiste świadectwo niż informacje medyczne.

### \* Kierunek - Racibórz. Co dalej będzie?

Do pracy w Raciborzu zostałam skierowana z Urzędu na 3 miesiące. Było to w ramach akcji kierowania lekarzy do szpitali jednoimiennych. Pamiętam, że kiedy wyjeżdżałam tam w marcu wcześniej rano, wszędzie leżał śnieg. Gdy wracałam, była już pełnia lata. Jechałam z różnymi obawami, nie mając pojęcia co mnie czeka, niewiele wtedy było wiadomo o tej chorobie.

Ale kiedy wróciłam, ze zdziwieniem odkryłam, jakby inną rzeczywistość; życie toczy się normalnie, wszyscy zachowują się swobodnie, znajomi nie mieli kontaktu z nikim chorym. I tak sobie myślałam: czy ja coś przeoczyłam? Nie ma pandemii?

Jeżeli ktoś ma podobne odczucia, to cieszymy się, że ten wirus okazał się w naszym otoczeniu mniej groźny. Ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. W takich miejscach jak Racibórz czy Tychy, jak w soczewce, widać to najlepiej. One są dowodem na to, że to dzieje się naprawdę.

### \* Kilkaset łóżek pełnych cierpienia

Mieszkałam na terenie szpitala, na tyłach bloku operacyjnego, w pokoju, w którym było tylko łóżko, stolik i krzesło. Ograniczałam kontakty z osobami z zewnątrz do minimum, bo wiedziałam, że w każdej chwili mogę być zarażona. Z resztą, i tak prawie cały czas byłam w pracy albo ją odsypiałam.

Pracowaliśmy po 24 godziny, bo było nas mało. W trybie dyżurowym, czyli po 1 lub 2 lekarzy na oddział. Potem dzień przerwy i znowu 24 godziny. Kiedy tam przyjechałam, dopiero zaczynało w szybkim tempie przybywać chorych. Kolejne oddziały otwierały się i ku naszemu przerażeniu w kilka dni się zapępniały. Gdy wchodziło się na oddział, gdzie leżało kilkadziesiąt zakażonych chorych, to miało się wrażenie, że powietrze jest gęste od wirusa jak zupa.

Było nam ciężko – nam, lekarzom. Zwłaszcza na początku, gdy nie było osocza, nie było leków, w zasadzie był tylko tlen, a potem respirator, spod którego praktycznie nikt żywy już nie wychodził. Patrzyliśmy nieraz bezradnie, jak chory z dnia na dzień się pogarsza i w zasadzie nie ma mu jak pomóc. W klasycznym przebiegu choroby umierali w mechanizmie niedotlenienia, duszenia się, tracąc powoli świadomość. Na naszych oczach.

Odwiedzin nie było, więc późnymi wieczorami dzwoniły zapłakane rodziny tych najciężiej chorych, którzy już nie odbierali telefonu. I wtedy robiliśmy za „telepsychologów”, żeby to ich poczucie bezradności, a nawet rozpacz, jakoś przerobić na coś dobrego. Czasem będąc

przy chorym wykręcaliśmy w jego telefonie numer do rodziny, żeby mogła mu powiedzieć parę słów. Czasem to były też ostatnie, pojedyncze słowa chorego do nich, na parę dni przed śmiercią. Świadome ostatnie pożegnania.

Były też całe rodziny zakażone i wtedy kładliśmy je na jednej sali. To nie zawsze kończyło się dobrze. Córce na rękach umierała mama, mężowi żona... Pamiętam pewną kobietę, której mama zmarła w Tychach, a myśmy jej z dnia na dzień przekazywali coraz gorsze wieści o ojcu, który z kolei leżał u nas.

Trudno to opisać. Tam był trochę taki „poligon”, zupełnie inne warunki niż w normalnych szpitalach i „normalnych” chorobach.

#### \* Samotność i odwiedziny Jezusa

Na początku nasz kapelan zadzwonił do każdej dyżurki lekarskiej w szpitalu, przypomniał o sobie, swój numer telefonu. I to było ważne. Dla nas - lekarzy. Ten jego numer i imię zapisane na tablicy na ścianie dyżurki przypominały o czymś ważnym. Chciałam Was prosić, abyście nie bali się zrobić czasem pierwszego kroku w naszą stronę, przypominać o tym, co nam umyka.

Mój oddział był pierwszym, który zdecydował się wezwać go do strefy zakażonej. Najpierw nauka ubierania i co potem w jakiej kolejności i jakim ruchem ściągać, w której z trzech części śluzu zostawiać. Towarzyszyłam mu ten pierwszy raz, dla jego bezpieczeństwa i dla dodania odwagi. Na kolejnych salach zapowiadałam, że przyjdzie ksiądz. I naprawdę było widać, jak zmienia się atmosfera: ludzie byli wzruszeni, przejęci, czekali. Bo tutaj izolacja, nikt nie może wejść ani wyjść, odcięci od rodziny, perspektywa samotnych Świąt. A tu taki Gość. Z wyjątkiem jednej osoby, CAŁY oddział przyjął sakrament chorych, niektórzy spowiadali się.

To pokazało coś ważnego. Że przyzwyczajamy się do tego, co mamy pod ręką, na co dzień. Do obecności kapłana, nawet do samej Komunii świętej. Zapewne tą naszą obojętność czasem odczuwacie... A tam, gdy tej posługi na początku brakło, okazało się, jak jest bardzo potrzebna.

#### \* Życie obecne kontra życie wieczne

Pamiętam jak kiedyś ratowaliśmy pewnego chorego. W zasadzie wiedziałam, że się nie uda. Raczej chodziło o to, aby mu ulżyć w silnej duszności i lęku i dać jeszcze trochę czasu. Wezwaliśmy też pilnie kapłana. Tlen, kroplówki, leki, ciśnienie, bieganina – trochę pomogło. Gdy wszedł kapelan, odsunęliśmy się wszyscy – teraz chory należał do niego. Stojąc w tyle za nim, czułam się przy nim taka mała. Bo uświadomiłam sobie, że ja ratuję tylko to życie doczesne, a on wieczne...

Kilka godzin później chory zmarł.

#### \* Bilet do Nieba

Wielkie było moje zaskoczenie, gdy któregoś poranka ujrzałam na swoim oddziale mojego dobrego znajomego. Starszego człowieka, niewierzącego, który całe życie źle wyrażał się o Kościele, powiedział oficjalnie, że po jego śmierci nie chce nawet Mszy Pogrzebowej. Żył jak chciał, nie najlepiej. A teraz leżał zakażony, w ciężkim stanie, na granicy przytomności. Nie

wiem, na ile świadomie wtedy zgodził się na sakrament chorych i go przyjął, może już nie do końca wiedział, na co się godzi. Zmarł 2 dni później spokojnie, pogodny, po chwilowej spektakularnej poprawie, którą trudno czymkolwiek uzasadnić. Powiedziałam potem jego wierzącemu synowi, że dostał „bilet do nieba”.

#### \* Pandemia: jest czy nie

Wiem, że społeczeństwo zaczyna być podzielone. Jest coraz więcej głosów buntu przeciw restrykcjom i samej pandemii. Pewnie sprzyja temu duży odsetek zakażeń bezobjawowych. Nie zmienia to jednak faktu, że są i że są problemem ogólnoswiatowym. Nie znamy też jeszcze odległych skutków przechorowania.

Jeśli ktoś nie dowierza w skalę problemu, to pewnie go nie przekonam. Może i ja bym nie dowierzała, gdybym tam w Raciborzu nie była. Ciężko chorych na COVID-19 wśród nas nie ma, bo od razu trafiają w takie miejsca. Nie widzimy ich na co dzień.

Nie jestem tu po to, aby stawać po żadnej stronie ani bronić przepisów. Ale też chciałam Was prosić – Jeśli ktoś absolutnie nie wierzy w istnienie zagrożenia, to proszę go, aby miał chociaż na tyle pokory, by stosować się do zaleceń tych, których zobowiązani jesteśmy słuchać. I aby powstrzymał się od głośnych komentarzy choćby z szacunku do tych, którzy tą chorobę ciężko przeszli oraz rodzin, które straciły kogoś bliskiego. Jeśli natomiast ktoś bardzo się boi, to chciałam go prosić, aby miał w sobie na tyle odwagi, aby nas, chorych nie zostawić. Mówię: nas - bo też zachorowałam.

#### \* Po drugiej stronie frontu – moja choroba

To było w trzecim, ostatnim miesiącu pracy. Miałam akurat dyżur. Gdy pojawił się mój dodatni wynik, kazano mi natychmiast odejść od biurka. Pamiętam, że nawet nie dokończyłam zdania w dokumentacji. Pozwolono mi jeszcze zabrać osobiste rzeczy i zapytano, czy wybieram izolatorium czy pobyt na oddziale. Wybrałam swój oddział, żeby nadal być przy chorych. Czułam się dobrze, więc z tej drugiej strony frontu nadal wypełniałam proste czynności: podłączałam kroplówki, mierzyłam ciśnienie, roznosiłam posiłki, doglądałam chorych. Wtedy też zobaczyłam, jak bardzo potrzebują obecności – chwili uwagi, rozmowy, aby z nimi po prostu być.

Potem zaczęły się objawy i przeniesiono mnie do osobnego oddziału, dla zakażonego personelu.

Mój przebieg choroby był nietypowy, bo bardziej neurologiczny. Przez tydzień bóle i zawroty głowy niereagujące na leki, silna senność, przesypiałam większość doby. Problemy z pamięcią, przypominaniem sobie nazw wyrazów, nie całkiem rozumiałam co czytam - utrzymywały się jeszcze wiele tygodni po wypisaniu ze szpitala. Wykluczyło mnie to z wykonywania zawodu na długi czas.

Pamiętam, że tam, na oddziale, w te najgorsze dni, w zasadzie było mi wszystko jedno, co dalej będzie się ze mną działo. Chciałam tylko spać. Jakoś tak Pan Bóg dał łaskę, że nie było w tym lęku. Może dzięki poczuciu, że robiłam to, co trzeba, byłam gdzie trzeba, do końca. Że nie stchórzyłam. Chciałam się tym podzielić zwłaszcza z tymi, którzy się boją. Myślę, że za wiernością swojemu powołaniu idą też potrzebne łaski.

To był też czas, w którym kolejny raz kapelan wyszedł sam z inicjatywą, tym razem konkretnie do mnie. Wahałam się czy go poprosić o sakramenty, bo znam trud ubierania i chodzenia w całym tym stroju, znam ryzyko każdego wejścia do strefy zakażonej. A on

zapytał czy chcę, żeby przyszedł. Byłam mu za to bardzo wdzięczna. I tu proszę Was wszystkich, nie bójcie się rozmawiać z nami, czasem jako pierwsi wyciągnąć rękę. Wiem, że my, lekarze, jesteśmy różni, nasza wiara też jest różna i nieraz traktujemy Was „obco”. Ale zwykle wynika to jednak z utartych schematów i sztucznych barier, pewnych nawyków na danym oddziale. Bądźcie wtedy tą „mądrzejszą” stroną, która pierwsza będzie próbować to zmienić.

I jeszcze jedno. Dla tamtego kapelana pewnie to był dzień jak co dzień, a dla mnie – pozbawionej sakramentów z powodu epidemii na 2 miesiące - wyjątkowy.

#### \* My naprawdę Was potrzebujemy

Na początku epidemii, gdy pojawiły się największe restrykcje, kapłani z mojej parafii założyli stronę na facebooku. Naprawdę, wtedy wszyscy baliśmy się co będzie dalej. W wieczór przed wyjazdem do Raciborza napisałam do nich przez messenger: My naprawdę Was potrzebujemy - może właśnie teraz, w tych czasach, jeszcze bardziej.

Myślę, że potrzebujemy Was także jako lekarze. Gdy połączymy siły, razem będzie nam łatwiej tej wspólnej walce o chorych.